KATOLIK

MILWAUKEE, WIS.

CZASOPISMO POŚWIĘCONE INTERESOM POLAKÓW KATOLIKÓW W AMERYCE.

Nr. 22. Czwartek, 11-go Października, 1900. Rok V.

PRZEGLĄD TYGODNIOWY.

Wynalezienie nowego tematu

DO ZADANIA POLITYCZNEGO MOCARSTW,

czyli rozwięzywanie drugiego chińskiego politycznego warkocza we warkoczu.

Po dłuższem niż długiem szperaniu nad odszukaniem i uproszczeniem politycznej ścieszki, mającej zjednoczyć akcyą wszystkich mocarstw w sprawie chińskiej i zaprowadzić do zawarcia trwałego pokoju, wynaleziono nareszcie nowy temat do zadania, jakie rozwiązać mają w najbliższej przyszłości posłowie mocarstw w stolicy Chin. Jak bowiem pierwszą częścią działania zjednoczonymi siłami było dostanie się do Pekiugu, tak obecnie postawiono na porządku dziennym wywiedzenie się o winowajców chińskich, którzy już to bokserów namawiali do mordów, już to nimi dowodzili lub ich postępowanie pochwalali, albo nawet nagradzali.

Takiej treści notę wysłał francuski minister spraw zagranicznych do wszystkich mocarstw obok pięciu innych punktów, których rozwiązanie dopiero po odszukaniu wyżej wzmiankowanych winowajców i ukaraniu ich ze strony rządu chińskiego n a s t ą p i ć może. Wszystkie mocarstwa zgodziły się na ten punkt najważniejszy i wydały zlecenia swym posłom względem wyśledzenia winnych i przedłożenia sprawozdania swym odnośnym władzom.

Nie będzie to wprawdzie zadanie orężne, ale mimo to zabierze ono nie mniej czasu dyplomatom jak samo zdobycie Pekingu. Łatwo sobie wyobrazić, że tam wielu winnych będzie wypadało przedstawić n i e w i n n y m i, gdyż w przeciwnym razie wypadałoby cały dwór cesarski pociągnąć do odpowiedzialności, a tu przecież panująca kobiecina nie może należeć do winnych, chociażby i czyn karygodny popełniła, bo w takim razie ktoś jej doradził i tego ktosia wypadnie teraz oskarzyć.

Niemiecka prasa urzędowa usiłuje tę francuską notę nazwać notą niemieckiego ministra, hr. Buelow'a z 1. października, tłomacząc różnicę między żądaniem, postawionem ze strony tego ostatniego dyplomaty, aby winnych wydano, a żądaniem francuskiego ministra, aby winnych ukarano, tą okolicznością, że w dyplomatycznej mowie znaczyć ma wyraz "wydanie" to samo co wykrycie winnych. Urzędowy berliński Post zaś wyraża zdumienie nad tem, że Francya nie zasięgnęła rady Niemiec, zanim jej minister wystosował notę do mocarstw. U s i ł o w a n i e atoli względem wyjaśnienia jakiegoś dyplomatycznego wyrazu "wydanie" wyglądają tak naiwnie jak następujące usiłowanie p. Anastazego: "Ponieważ pan poseł zbyt parlamentarnie mówił, więc panowieście nie rozumieli, ale jeżeli, pozwolicie, to ja wytłomaczę". I owszem prosimy, prosimy! Pan Anastazy ma głos — Anastazy — "ponieważ mombdziu tego te — takie okoliczności tego te, więc i panowie delegaci nie mogli mombdziu — tego te".

Jacy tedy "Fu" i jacy "Ching" okażą się winnymi w toku zaordynowanego śledztwa dyplomatycznego, będziemy mieli dosyć czasu dowiedzieć się następnych tygodni, a teraz wróćmy do noty francuskiego ministra, aby poznać oprócz wyżej wykazanego jeszcze pięć dalszych warunków osiągnienia stałego pokoju mocarstw z Chinami.

Otóż drugim warunkiem jest utrzymanie w mocy zakazu względem przywozu broni; trzecim stosowne wynagrodzenie państw, organizacyj i pojedynczych osób za poniesione straty w ciągu anarchii; czwartym utworzenie stałej straży dla poselstw w Pekingu; piątym zburzenie twierdz w Taku, a szóstym obsadzenie dwóch do trzech punktów strategicznych między Tyen Cyn, a Pekingiem. Że rząd chiński przyjmie te warunki, nie ma prawie wątpliwości, z wyjątkiem chyba piątego i trzeciego, gdzie mógłby tenże oponować zburzeniu swych fortyfikacyj i przywozowi broni.

Małe próbki wielkiej szczerości chińskiej.

Wedle doniesienia korespondenta Times ze Shanghai, miał rząd chiński wydać tajne edykty treści nadzwyczaj podburzającej, zaś edykty jawnie ogłoszone w najbliższym czasie, miały nastąpić jedynie celem złudzenia mocarstw mniemanem pokojowem usposobieniem.

Według depeszy tegoż samego korespondenta z 6. bm. do Londynu, miała chińska flota zamierzyć napad na rosyjski pancerny krzyżownik Ruryk w kanale Formozy, czego jednak ten okręt uniknął szybkością. Ten sam korespondent dodaje, iż szwadron sprzymierzonych zmusi prawdopodobnie flotę chińską do poddania się, lub ją zniszczy.

Inna depesza z Shanghai donosi, że na rezydencyą dworu chińskiego, wyznaczone jest cesarskim edyktem miasto Si Onam Fu, a to z uwagi, iż w prowincyi Shan Si, panuje głód, a właściwie z powodu, że tego miasta nie podobna nigdy dosięgnąć napadami od strony wybrzeża.

Zdanie prasy niemieckiej o chińskiem pragnieniu pokoju.

Czy życzenie rządu chińskiego względem zawarcia pokoju z państwem niemieckiem jest szczerem, wątpią o tem w Niemczech. Zamiar odpokutowania morderstwa Kettelera i bokserskich okrucieństw za pomocą chińskiej ofiary uważają za naiwność. Nadto jest wzmianka w prasie niemieckiej o ustawicznie trwających morderstwach, dokonywanych ze strony bokserów na misyonarzach i chrześcianach, jak niemniej o fabrycznej czynności w chińskich arsenałach z nadmienieniem, że to nie zgadza się z tęsknotą chińskiego dworu za pokojem. Obawiają się przeciwnie, aby nie były nowym wybiegiem dla uzyskania czasu lamentacye cesarza chińskiego, który zresztą jest tylko lalką w ręku swej mamy.

Z Tyen Cyn protest przeciw odwołaniu wojska.

Na zgromadzeniu obywateli amerykańśkich w Tyen Cyn 5. bm. uchwalono następującą rezolucyą:

My obywatele amerykańscy ubolewamy nad zamierzonem odwoływaniem amerykańskiego wojska z północnych Chin. Uważamy, iż dzieło sprzymierzonych długo jeszcze nie będzie ukończone, a wahanie się amerykańskiego r z ą d u względem uskutecznienia tegoż dzieła poczytają sprzymierzeni za czyn niegodny, zaś Chińczycy za oznakę obojętności.

Smutna historya, jeżeli prawdziwa.

Redaktor i korespondent angielskiej "Daily Mail", osobisty przyjaciel prezydenta Transvaalu, Krueger'a i prezydenta Stein'a tudzież jenerała Jouberta i innych wodzów południowoafrykańskich, opublikował w swej gazecie ciekawą historyą południowo-afrykańskiej wojny . pod napisem: "Złoto dla Ameryki; prawdziwa historya brudnej intrygi".

Artykuł ten zarzuca Websterowi Davis, że Boerów złudził, jakoby zdołał swoją wymową amerykańską ludność tak podburzyć, że interwencya byłaby niezawodną. Davis miał otrzymać $125.000. Z dalszej treści artykułu, wynika, jakoby południowoafrykańska wojna powstała z intrygi holenderskiej i jakoby ją różne kontynentalne intrygi podtrzymywały i jakoby wreszcie zakończyć się miała amerykańską intrygą. Historya tych intryg wykazuje, jakoby się kilku niesumiennych ludzi bawiło życiem narodów celem wyśrubowania dla siebie pieniędzy. Ordynarną i nikczemną zbyt ma być siatka tych intryg, których skutki skrupią się obecnie na nieszczęśliwym narodzie, a nieszczęśliwym jedynie dla braku siły materyalnej — liczebnej. Główną podstawą złudzenia Boerów była teorya, że w Ameryce istnieje silne stronnictwo antybrytańskie, składające się przeważnie z Niemców i Irlandczyków. Boerowie mieli oprócz wyżej wspomnianej sumy wyłożyć jeszcze 200 tysięcy funtów szterlingów na urządzanie w Ameryce zgromadzeń, im przyjaznych. Z tą sumą miano wyprawić Montagu White, a wszystko to skutkiem złudzenia przez agitacye bezsumiennych przemysłowców.

Z FILIPIN.

Według depeszy jenerała Mc Arthur'a z 4. b.m. umarło z głodu pięciu żołnierzy amerykańskich, którzy uciekli z niewoli filipińskiej i zabłąkali się w górach prowincyi Laguna na wyspie Luzon.

Niebezpieczeństwo wojny

Przedmiotem obrad delegatów kongresu pokojowego.

W czwartek zeszłego tygodnia miał jeden z delegatów, Jean de Bloch na posiedzeniu mowę o prawdopodobnych skutkach przewidywanych wojen. Omawiał on sprawę armeńską, poczem powzięto uchwałę, potępiającą mordy a- ustanawiającą żądanie, aby rząd turecki przestrzegał ściśle g w a r a n c y i bezpieczeństwa w granicach swego państwa. Drugą uchwałą, powziętą na temże posiedzeniu, było wezwanie do wszystkich narodów o apelacyą do publicznej opinii, ażeby zmuszono Anglią do pozostawienia wolności obydwom południowo afrykańskim republikom.

BOEROWIE OPUSZCZAJĄ OJCZYZNĘ.

Według wiadomości, nadeszłej z Lorenzo Marques, opuszczają setki rodzin boerskich swą złupioną i zawojowaną ojczyznę, unosząc życie i wolność jak Eneasz z Troi i udają się częścią do Holandyi, częścią do Ameryki. W ciągu ubiegłego tygodnia odpłynęły z Lorenzo Marques dwa okręty niemieckie z 1200 Boerami na pokładzie i dwa okręty francuskie z 950, przeważnie kobietami i dziećmi. Wszyscy wspomniani emigranci należeli do lepszej klasy mieszkańców transvaalskich i podążyli bez wyjątku do Holandyi.

RODZIME ZŁOTO W AUSTRALII.

Według wiadomości, nadesłanej do Victoryi pocztą ze Sydney, odkryto w australskiej miejscowości Gundagas pokłady rodzimego złota, którego pojedyncze bryłki ważyć mają po ¼ funta, a w ogóle wydobyto bezpośrednio po napotkaniu tego nowego Eldorada 2000 uncyj. Miejscowość, w której napotkano owę żyłę złotą, położona jest w południowej części Nowej Walii. W razie sprawdzenia się doniosłej tej wiadomomości nie będą mieli pewności angielscy dyplomaci, co wyżej cenić — Południową Afrykę, czy Australią.

WYNALAZEK PRZECIW ŚMIERCI NA ŻÓŁTĄ FEBRĘ.

Włoski lekarz, jeden z młodych jeszcze synów Eskulapa, imieniem Bellinzaghi wynalazł serum, leczące chorych na żółtą febrę, za co otrzyma nagrodę 100 tysięcy dolarów, wyznaczoną ze strony rządu meksykańskiego. Choroba bowiem ta grasuje nielitościwie rok rocznie w portowych miejscowościach Meksyku i na przesmyku panamskim epidemicznie. Wielu znakomitych specyalistów przedsiębrało doświadczenia od czasu wyznaczenia wyżej wspomnianej nagrody w porcie Vera Cruz, lecz dopiero ubiegłego lata powiodło się wzmiankowanemu lekarzowi włoskiemu osiągnąć skutek. Komisya, wydelegowana na ten cel, sprawdziła, że tylko w tych wypadkach nie skutkował wynaleziony środek, gdzie choroba już za daleko postąpiła, a więc skutkiem opóźnienia kuracyi.

Dr. Koch w nowej wojnie:

Z MALARYĄ I MOSKITAMI.

Wedle podania przybyłych z Azyi podróżnych do Tacoma w stanie Washington, przybył berliński prof. medycyny z Indyj Wschodnich do Hong Kong niby już z pewnym środkiem leczniczym przeciw malaryi, z której deklaruje się podobno oczyszczać stanowczo całe okolice, nią dotknięte.

Ponieważ zaś moskity są naturalnymi przenosicielami tej choroby z jednej miejscowości do drugiej, a zatem krzewicielami zarazy, więc miał on wynaleźć zarazem środek skuteczny i na wytępienie tych owadów.

Nie podaje on wprawdzie środka tego do publicznej wiadomości, bo to tajemnica, ręczy jednak, że ma amunicyą na wytępienie tego plugactwa.

Nie należy nawet powątpiewać skoro Dr. Koch za to ręczy. Będzie on prawdopodobnie kiedyś przynajmniej w niemieckiej historyi nie mniej słynnym jak w starożytnej Grecyi Hercules, co zabił smoka w bagnach Lernejskich. Wszak zabił już przed kilku laty suchoty—a gdy teraz zabije malaryą i moskity, tak podania ludowe natychmiast przybiorą barwy poetyczne. Za czasów walki człowieka z pazurami dzikiego zwierza ubarwiły podania tych, którzy się w tej walce odznaczali; słuszna więc aby i dzisiejszych bohaterów za walkę z niemniej śmiercionośnym owadem poczczono. Dr. Koch czynił doświadczenia na wyspach Sumatra i Borneo przez rok cały na Orangutanach i Gorylach; w Hong Kong będzie się mógł popisać z gotowym wynalazkiem najpierw przed Chińczykami.

SAMOBIJ, CZYLI HISTORYA BRYŁKI LODU.

W piątek zeszłego tygodnia gruchnęła wieść ustnie i piśmiennie po kraju, jakoby ktoś rzucił był na mowcę, Marka Hannę, bryłę lodu podczas zgromadzenia na sali w Chicago. Tymczasem okazało się, że był to tylko prosty samobij, nie rzucony niczyją ręką, jak sam senator Hanna objaśnia, że gdy mowę swą zakończył i usiadł przy stole, przysłuchując się następnej mowie p. Mann'a, upadł przed nim na stół, a ze stołu stoczył się na ziemię kawałek lodu wielkości strusiego jajka. Popatrzywszy następnie w górę, zobaczył pan senator nad sobą w suficie otwór, przez który rzeczona bryłka niezawodnie spadła. Prawdopodobnie zobaczył jakiś rozpustniś ów otwór, w suficie i równocześnie bryłkę lodu na chodniku i nie mógł się zdaniem pana senatora oprzeć pokusie, aby owej bryłki wspomnianym otworem do wnętrza sali nie wrzucić. W każdym jednak razie nie było tam zamiaru uderzenia senatora, ponieważ bryłki nie rzucono z wewnątrz sali.

Nadzwyczajna sesya legislatury stanu Michigan.

W tych dniach zgromadziło się ciało prawodawcze stanu Michigan na wezwanie gubernatora Pingree, celem powzięcia wspólnej rezolucyi, mającej się przedłożyć przy najbliższych wyborach w listopadzie obywatelom stanu Michigan względem dodatku do konstytucyi, dotyczącego opodatkowania kolei. Opodatkowanie to tyczyć się ma nie tylko dochodów kompanij kolejowych lecz i wartości własnościowej. Podobną ustawę przyjęto już raz poprzednio, ale sąd wyższy stanowy uznał ją za przeciwną konstytucyi. Takie orzeczenie sądowe uchodzić mogło chyba za czasów, w których tylko sami prawnicy znali i rozumieli konstytucyą. Czy to konstytucyjne było dawanie za darmo kompaniom kolejowym gruntów w takiej objętości, jak 8 stanów Ohio? Ale skoro je już rozdano czy to konstytucyjnie uwalniać od podatku ich właścicieli?

W takim razie nie konstytucyjnie jest brać podatek, od fabrykantów, którzy tak samo parowymi maszynami w tym kraju majątek robią, jak i koleje żelazne. Nie brać podatku z gruntu, darowanego kompanii kolejowej ma być konstytucyjnie, pomimo że tego gruntu są tysiące akrów, ale brać go natomiast od właściciela kilkunastu lub kilkudziesięciu stóp kwadratowych, to konstytucyjnie? Czy zamiarem twórców konstytucyi tego kraju było przywilejowanie jednych właścicieli wobec drugich? Od podatku wolne są tylko gmachy rządowe i budynki, służące dla oświaty tj. szkoły i świątynie wszelkich wyznań, a kto tego nie wie, nie powinien zasiadać sędziowskiego krzesła.

ZBRODNIE TOWARZYSZKAMI ŚMIERCI MILIONERA.

W Nowym Yorku aresztowano 4. bm. adwokata A. S. Patrick i sługę milionera Rice, który nagłą śmiercią umarł przed tygodniem. Jak tylko wspomniany teksaski milioner zgasł, pojawił się zaraz dowcipny adwokat w banku z pliką weksli do wypłacenia na swe ręce. Znający jednak dokładnie charakter pisma milionera urzędnicy bankowi zauważyli sfałszowania podpisów i zamiast wypłaty nastąpiło aresztawanie. Rozmaici rzeczoznawcy pisma orzekli sfałszowanie podpisów.

Następnie okazało się, iż rzeczony adwokat przedłożył także drugi testament zmarłego milionera, mocą którego odziedziczyłby był tenże niemal dziewięć dziesiątych całego majątku zmarłego, gdyby się był powiódł przemysł zbrodniczy.

HURAGAN.

W stanie Ohio pojawił się nie bywały przed tem huragan, zmiatający we wielu miejscach dachy z domów lub łamiący drzewa. W Cleveland wyrzucił wicher cały zaprzęg jadącego farmera na drzewo.

Odpowiedzialność przewodników strajku.

Wobec tego, iż właściciele kopalń oświadczyli się z gotowością podniesienia 10 procent płacy górnikom i postanowili na przetrzymywaniu uporu wzajemnego polegać do ostateczności, ważną jest nadzwyczaj obecna chwila dla strejkierów, a wielka odpowiedzialność spadałaby na przywódców, gdyby ostatecznie miał się strajk zakończyć klęską górników. Wyrzuty ofiar ścigałyby ich natenczas, podczas gdy obecnie nie wiele jeszcze strajk kosztował, a zakończyłby się bądź co bądź zwycięstwem robotnika. Dla tego to zamierzają przywódcy zwołać jeszcze walne zgromadzenie i polecić rozstrzygnienie tej ważnej sprawy samym interesowanym. Co innego byłoby, gdyby strajkujący wytrwać mogli rok lub dwa bez roboty, to natenczas musiałby rząd wziąć kopalnie we własne ręce.

WYLEW RZEKI WISCONSIN.

Imiennica stanu Wisconsin zalała miasto Portage 9. bm. Na trzy mile ku północy rozlała się woda tej rzeki poza wspomniane miasto aż do swego dopływu Baraboo i dopiero wraz z nim napowrot do własnego powracała koryta. Piwnice w mieście zapełniła woda i ulicami płynęła w kształcie strumieni. Mieszkańcy uciekali zaprzęgami i łodziami z miasta, a jeden dom nawet widziano płynący na dół rzeką, lecz mieszkańcy okoliczni, widzący tę osobliwość nie mogli się dowiedzieć od mieszkańców tej arki, skąd pochodzą, ponieważ zbyt szeroka przestrzeń wody nie dozwalała zbliżenia się nawet na pół strzału karabinowego.

OFIARA ZMIENNOŚCI ATMOSFERY.

Oprócz nagłej różnicy w stanie amosfery na tych samych miejscach w ciągu całego ubiegłego tygodnia szalały jeszcze tu i owdzie huragany i burze śnieżne. Według wiadomości z 4. b. m. umarzła w Montanie 19 letnia córka farmera Stelvert'a na polu, skąd nie zdołała zdążyć do domu rodzicielskiego przed burzą i nie miała na sobie odzienia, obliczonego na niespodziewaną burzę śnieżną, która przez 24 godzin szalała bez przerwy.

KAMPANIA WYBORCZA NA PORTO RICO.

W miejscowości Guayama na wyspie Porto Rico przyszło 9. bm. do śmiertelnych argumentów między tamtejszem stronnictwem politycznem republikańskiem a federalistycznem. Walka wywiązała się w kawiarni przy dyspucie politycznej, kosztującej życie jednego człowieka, niejakiego Józefa Rodriguez i poranienie dwóch i n n y c h. Zdaje się, że Portorykanie zapożyczyli się pod względem polityki w Kentuky, z tą różnicą, iż tam nie strzelają do wybranych, lecz zawczasu wyborcy do wyborców, prawdopodobnie aby tym sposobem ująć jeden głos kandydatowi stronnictwa przeciwnego.

KATOLIK

wychodzi w każdy Czwartek.

ABONAMENT:

W Stan ch Zjed. za rok cały $1.50
Razem z tygodnikiem "Źródło" 2.00
Numer pojedyńczy............3c
W innych krajach............2.00

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy:

Prof. JOHN KUK,
Cor. Lincoln & 1. Avs.
MILWAUKEE, - WISCONSIN.

Wydawca: Ks. W. GRUTZA.

Entered at the Milwaukee P. O. as second class mail matter.

ADVERTISING RATES:

Space	Week	Mo.	3 Mo.	6 Mo.	1 yr.
1 inch	50c	$1.25	$2.50	$5.00	$10.00
2 inch	$1.00	2.50	4.50	8.00	15.00
3 inch	1.50	3.75	6.25	12.00	20.00
¼ col.	2 50	5 50	10 00	20 00	30 00
½ col.	4 50	12 00	18 00	30 00	50 00
1 col.	7.00	20.00	30.00	40.00	100.00

Bisenius w płomieniach.

Wielka firma Biseniusa we Wiedniu, zajmująca się wyłącznie wyrobem przedmiotów dekoracyjnych, ongi sztucznych tur i orderów kotylionowych spłonęła. Zakłady Biseniusa mieszczą się w ulicy Singerstrasse w domu czteropiętrowym, budowanym jeszcze w 17. stuleciu. Ten tedy gmach padł w nocy przed miesiącem pastwą płomieni, a z nim razem wszystkie zapasy towarów, jakie się znajdowały we fabryce i na składach. Na pierwszem piętrze domu mieściły się magazyny i składy sprzedażne, na drugiem skład materyałów, a na dwu górnych mieszkali lokatorowie. Dom to ciasny, izby niskie, a schody kręte i ciemne.

Około godziny trzeciej nad ranem, poczuła panna Franciszka Neuman, mieszkająca na czwartym piętrze domu, niezwykłe gorąco i dym, tamujący jej oddech, a równocześnie ujrzała przez okno jasne światło. Uchyliła okno od podwórza a w tej chwili obsypały ją iskry, bijące z płomieniami od pierwszego piętra. Szyby okien popękały od gorąca, a panna Neuman miała na tyle jeszcze przytomności, że chwyciła trzewiki i w koszuli wybiegła na schody, alarmując krzykiem dom cały. Mimo dymu udało się jej wyjść bezpiecznie.

Równocześnie spostrzegły pożar na drugiem piętrze gospodyni Biseniusa i jego kuzynka, obudzone także brzękiem pękania szyb. I one z krzykiem uciekły z pokoju, a gdy się na pierwszym piętrze znalazły, ujrzały, że cały zakład Biseniusa stoi w płomieniach, jak jedno morze ognia. Drzwi szklane, oddzielające składy od schodów były jeszcze całe i tej okoliczności zawdzięczają kobiety, że jeszcze zeszły z domu bez pomocy obcej. Za chwilę i te drzwi pękły i dym napełnił schody, zamykając drogę do wyjścia reszcie mieszkańców.

Ponieważ z wieży świętego Stefana sygnalizowano ogień jako d a c h o w y, nie wzięto w pierwszej chwili przyrządów ratunkowych i dopiero z miejsca zarekwirowano je, że przedewszystkiem ludzi ratować należy. Z okien rozlegały się rozpaczliwe wołania o pomoc, a niektórzy mieszkańcy chcieli już skakać przez okna. Pewna pani rzuciła już naprzód dwie poduszki, aby na nie skoczyć. Inspektor straży ogniowej prosił krzykiem i gestami, aby pozostano na miejscu aż do przybycia oddziału ratunkowego. Mimo tego ze wszystkich piętr słychać były okrzyki: "Ratuj się, kto może!"

Przybył wreszcie oddział ratunkowy i po niewielu minutach udało mu się wynieść z palącego się domu wszystkich zagrożonych. Nagle rozległy się wołania, że na trzecim piętrze została jeszcze jedna stara kobieta. Wysłany po nię na górę strażnik znalazł ją siedzącą spokojnie w krześle, ani nie przeczuwającą, jakie jej groziło niebezpieczeństwo.

Sześć pokojów, napełnionych chorągwiami, dekoracyami itp. spaliło się doszczętnie; na szczęście nie było wielkiego zapasu ogni sztucznych, bo te byłyby, eksplodując, jeszcze zwiększyły niebezpieczeństwo. Resztę, co zostało po festynach publicznych cesarskich, zabrał Bisenius ze sobą, udając się do .Wekelsdorfu koło Tolny, gdzie pionierzy urządzali festyn, z okazyi ukończenia mostu. W skutek tego nie wiedział Bisenius nawet nic o ogniu, który mu wyrządził szkody na 150.000.

Przyczyną wybuchu ognia było jak przypuszczają, niedomknięcie przewodu elektrycznego.

Kolej przez pustynię.

Francuzi budują kolej przez Saharę! Wieść taka rozległa się w ostatnich czasach w pismach. Właściwie mówiąc, nie budują jej jeszcze, ale dopiero przygotowują się do tej pracy. Za pomocą kolei chcą oni zagarnąć dla siebie te olbrzymie, nieprzejrzane przestrzenie i zamienić je w jednę ze swych kolonij. O pustyni saharskiej mają mieszkańcy reszty świata błędne pojęcie; zwykłe naiwne porównanie Sahary do morza, nie odpowiada wcale rzeczywistości. Przeciwnie, pomiędzy morzem a Saharą najzupełniejsze panuje przeciwieństwo. Ruchliwe niespokojne morze—to życie, martwa Sahara – to śmierć, to sfinks kamienny bez czucia, bez miłosierdzia. Na morzu nie ma tego wrażenia nieskończoności, brak tam bowiem przedmiotu do porównania i zmierzenia odległości, fale oddalone dziesiątki kilometrów wydają się bliższymi, aniżeli są w rzeczywistości, tu przeciwnie mnóstwo jest przedmiotów, mnóstwo kolorów po których oko przebiegając, otrzymuje wrażenie ogromu i nieskończoności. Tu czernieją większe i mniejsze płaty— to oazy, tam biegną brunatne, równoległe smugi, podobne do fal— to wydmy; owdzie wije się wężem jasny pas—to prastara terasa nieistniejącej już rzeki, dalej szarzeje gładka, równa, złotobrunatna płaszczyzna—to step z rzadka roślinnością pokryty. Na morzu nurzy jednostajność, tu przeciwnie bawi i zadziwia rozmaitość.

Jakież pióro zdoła ten majestatyczny widok opisać?... Trzeba go widzieć w blasku zachodzącego słońca, kiedy brunatna barwa całości w złoty ustroi się odcień, kiedy potężne skaliska Atlasu przewalone na prawo i lewo fantastycznym łańcuchem, czerwienieją jak rozpalone żelazo — trzeba go widzieć pod tym jasnym stropem niebios, trzeba wsłuchać się w jego majestatyczną ciszę, ażeby go pojąć i zrozumieć to potężne wrażenie, jakie on wywiera na człowieka.

"Sahara podobna jest do skóry pantery, brunatne tło skóry—to pustynia, czarne płaty—to oazy". Tak pisał stary geograf Ptolomeusz w drugim wieku po Chrystusie i trzeba przyznać, że miał dobre oko. Albowiem te dwie barwy; brunatna i ciemno zielona, prawie czarna (gdyż tak wygląda zdaleka zieleń polna) najbardziej wpadają w oczy.

Zaraz u wstępu do pustyni poznaje się, jak naiwne są nasze pojęcia o Saharze, wyniesione z niedokładnych podręczników jeograficznych, przedstawiających Saharę jako wielką kupę piasku. Owszem — piasek zajmuje bardzo małą, bo zaledwie jednę dziesiątą część pustyni, a cała Sahara okazuje wielką rozmaitość w swej płaskorzeźbie, tak dobrze jak każda inna część świata. Są tu niezmierne skaliste wyżyny, są góry wysokości naszych Karpat są i wydmy piaszczyste—są słone jeziora (Szoty)— jednem słowem wszystko, co na stałym lądzie być może, z tem tylko zastrzeżeniem, że skalista wyżyna (Hammada) przeważa. Ale najnaiwniejszem jest powszechnie utarte wyobrażenie, jakoby Sahara była dnem morza, które gdzieś się ulotniło. Pomyślmy, że na przestrzeni od Alp do Uralu i Skandynawii przez sto lat nie upadnie ani kropla deszczu lub śniegu – tak, że wszystka roślinność i wszystkie słodkie wody znikną, to będziemy mieli prawdziwą Saharę w Europie.

Na tej olbrzymiej przestrzeni, liczne są rozrzucone mniejsze lub większe "oazy". Największą z nich Biskra. Dzięki potokowi tej samej nazwy, który prawie nigdy nie wysycha i licznym wywierconym studniom, ażeby dać życie przeszło 160,000 palm daktylowych. Jestto więc wielka zielona wyspa w tej niezmiernej pustyni, szkoda tylko, że w części o e u r o p e j s k i e j postaci, gdyż tutaj ostatni posterunek cywilizacyi europejskiej, ostatnia większa straż zbrojnej siły francuskiej i ostatnie hotele.

Tak jest — hotele europejskie, wygodne, obszerne, lecz niestety puste. Gdy bowiem przed kilku laty skonstatowano w świecie lekarskim, że powietrze pustyni działa zabijająco na gruźlicę, rzucili się przedsiębiorczy ludzie do budowania h o t e l ó w, sądząc, że wszyscy suchotnicy ze świata tu się znajdą; tymczasem stało się inaczej. Chorzy boją się tak dalekiej podróży, pozostali więc angielscy "globe trotters", którzy muszą być wszędzie, a którzy właśnie tego roku z powodu możliwej wojny pomiędzy Francyą a Anglią, omijają francuskie posiadłości.

Dla podróżnika więcej interesującą jest dzielnica arabska. Jestto zbiorowisko wąskich, brudnych uliczek; tu i owdzie meczetów z wysokim minaretem, a przy każdym meczecie mieszka "marabut". Jest on kapłanem, profesorem, lekarzem, sędzią i doradcą prawnym — po śmierci dostaje kapliczkę, którą Arabi utrzymują we wielkim porządku, bieląc ją co miesiąc. Takie kapliczki są d o s k o n a ł y m i punktami oryentacyjnymi — widać je z daleka. Nawet miejsca, gdzie sławny "marabut" chętnie przesiadywał, są święte— Arabowie wykładają je kamieniami pobielonymi wapnem.

Za sadami figowymi odsłaniają się płaskie chatki, jak gdyby przylepione do wapieni jurajskich. Odbijają one ostro śniegiem swej bieli od rdzawo czarnych okolic, od zielonych palm i kaktusów.

Te palmy, to jak gwiazdy na niebie, niby rozrzucone bezładnie, a w tak świetne łączące się obrazy. Tu tworzą świątynię lub skromną kapliczkę, tam altankę lub zielony baldachim, ówdzie prawdziwy pensyonat, gdzie starsze dziewice młode prowadzą podlotki, tuż obok tworzą straszną gęstwinę—zda się, że w jej wnętrzu czychają lwy i pantery, tam stanęły w szeregu, jak gdyby za chwilę skoczny miały rozpocząć taniec.

A ponad tą cudną zielenią jeszcze cudniejszy szafir niebios i najcudniejsze słońce afrykańskie, pełne blasku i żaru! A wśród tego przejrzyste powietrze pustyni, niby kryształ rozpuszczony, który niczego nie zasłania, a wszystko powiększa. Z jakąż rozkoszą wdarłby się człowiek do wnętrza takiego lasu, jak słodko spoczywałby u stóp takiej palmy-dziewicy, pojąc się jej miłosnym szeptem, jej rozkosznym oddechem.

Lecz niestety! Wnętrze lasu palmowego nie jest takie, jak je sobie wyobrażamy. Nie ma tam zielonego kobierca, darni mchów, nie ma kwiecia, ale same rowy i doły, pełne mułu i mętnej wody. O! bo palma musi ciągle nóżki moczyć, jej zawsze potrzeba słońca i wody.

Z okazyi rozporządzeń językowych

PRUSKIEGO MINISTRA STUDT'A.

Z powyższej okazyi umieścił "Kuryer Poznański" następującą baśń wschodnią:

Było to temu lat tysiące, tysiące—było to w kraju, gdzie w czasie pokoju domy świeciły jak łuna wojenna, gdzie ludzie dobrze karmieni z nienawiścią patrzali na głodnych, i tęsknych i zawiścili im życia, powietrza i ziemi, póki anioły smutku nie wykopały przedwczesnych grobów nieszczęsnym parjasom i łzy nie poczęły z deszczem białych cmentarnych kwiatów padać na samotne mogiły bezdomnych ludzi.

Smutne były wszystkie obrzędy życia tych tułaczów niewolnych, urodzonych w kołyskach złotych, którym zabrano zagrody, porozpędzano rodziny, a w końcu wyrwano języki, aby nie mogli wołać do starych bogów, panów swej ziemi. I tak nabrzmiało powietrze językami ofiar niewinnych, tak zakrwawiło się słońce odblaskiem krwi potoków, że zdobywcy ogłuchli i zaniewidzieli na niedolę i bezprawie i zardzewiało im sumienie.

Czasem tylko skrzypnęło w ich mózgach, gdy podmuch Wielkiego Ducha-Starca przeszedł ziemię, a wtenczas złorzeczyli Starcowi mieszkającemu na Opoce.

Nic już owych ludzi nie dziwiło.

Jeździli po wszystkich lądach i morzach, jak bystre orły i sępy, bujali statkami po powietrzu, ryli ziemię, to znów myśleli nad bytem i niebytem, ale żaden nadczłowiek nawet nie znalazł w owej epoce ni pokoju ni szczęścia.

Duch świata tak chciał.

On jeden wszechmocny, a sprawiedliwy.

I wtedy przypomnieli sobie owi ludzie złote chwile raju młodego świata i udali się do państwa zwierząt.

Wielkie, szklane wozy woziły ich same. Przez szyby widać było nabrzmiałe, czerwone i sine twarze mężczyzn, krogulcze nosy, jaszczurcze oczy, a wśród nich wlepiały się zapasione bryły kobiece, to znów sterczały chude, szpiczaste, jak stare arkady, postacie podobne do znaków pisarskich i haków.

Dziwny to był naród.

Ozy oprawione w szybki różnego kształtu i koloru, z ust robili kominy, z nosa kloaki, a tułowia ich globusy asadzone były na cienkich pręcikach.

W drodze mówili o piwie, o giełdzie, o wieprzach, o kucharkach, o prawie stanu, o konserwach, flocie i skibkach chleba z masłem, które wieźli na podwieczorek dla siebie do kraju zwierząt.

W dzień sierpniowy było gorąco, więc marzyli znów o piwie, kiełbasie i kiszonym ogórku, a potem o gwarze ptaków i zwierząt, o odpoczynku pod dziewiczymi krzewami, wachlującymi pielgrzymów długimi kielichami swych kwiatów.

Zajechali szczęśliwie.

Ptaki mówiły na on czas. Rozmawiały wszystkimi językami ludów tak jak to przywykły od stworzenia świata. Podróżni rozbiegli się po nieznanem państwie, węszyli jak szakale.

Najwięcej przedsiębiorcza i chciwa gromada dotarła najdalej w kraje szaro-żółtych ziem i piasków, przegradzanych kwieciem łąk, snopami zbóż, wodami silnych rzek i ruczajów.

Nad tymi rzekami żyły szare ptaki o mądrem, spokojnem spojrzeniu i prostych dziobach.

Widać, że Stwórca od wieków nadał im ten kraj na siedzibę, bo chociaż piękności żadnej nie było w tej okolicy ni bogactw na ziemi, słychać było w powietrzu jednę wielką rozkołysaną harmonią, płynącą z miłości ku łonu ziemi: to nasze, to swojskie, to ojczyste... Boże! daj nam kiedyś tę samę Ojczyznę w niebie.

Spekulanci struchleli— podbródki trząść im się poczęły, fajki z ust wypadły, nawet łysiny jeszcze po parę włosów z przerażenia spłodziły. A jeden z nich z trzema włosami na czaszce, z których chytrość i nienawiść resztę ozdoby z głowy postrącała, wrzasnął: "Czyż to nie język naszych parjasów? Skąd on ma prawo tu przy nas się rozpościerać! Precz mi z uszu z tym przeklętym waszym gwarem! Wy bluźniercze plemię—wygubię was, jeśli nie poczniecie mówić, jak my szlachetni.

I począł z towarzyszami swymi biegać po gajach i lasach, wytrząsał z gniazd pisklęta i matki leżące, tratował je po łąkach, spędzał z pól.

Ród szarych ptaków bronił się, ile tylko stało sił skrzydłom, ile głosu piersiom.

Żadne pobratymcze plemię nie pomogło.

Niebo tylko słyszało ich skargę.... Tak kiedyś słyszało głos, idący ze ziemi od trupa Abla. Silniejsze ptaki odlatywały daleko, by uratować swe rodziny od utraty mowy ojców, słabsze tułały się po rodzinnej ziemi; część z nich największa oparła się wszelkiej pokusie, ale niektóre z nich ustąpiły z gniazd i poddały się. —i powoli przyjęły mowę przybyszów.

Duch świata, widząc syny rzeszy, przezeń umiłowane j niepomne wlanych w serca ich uczuć świętych, zdradzające go i zaprzedające ojczyste swe lasy i gaje, straszne począł miotać przekleństwa.

I odtąd w pośwíście wichrów, w gromach burz, w różanych blaskach zachodu, w światłach ros, wszędzie i zawsze brzmiały ptakom-odszczepieńcom słowa Starowiecznego, goniące je aż do zgonu bez wytchnienia po całym świecie siłą wszechmocnych przekleństw.

Ale wśród szarej, znękanej rzeszy pozostał On i krzepił ją tchnieniem własnej swej piersi, swego własnego żywota żarem ogrzewał.

I ptaki tułacze walczyły o swe gniazda i swe pokolenia i broniły ich mężnie.

Tylko pisklęta, którym wołać kazano "papa", nie mówiąc im, że wzywają tem słowem ojca i nieświadomym, co wołają, inne ptaki nazwały papugami; a młódź, dorosłszy, za wyrządzoną sobie krzywdę i hańbę tem większą pałała nienawiścią.

Ale ród szarych ptaków był słaby.

Przyszedł raz ich dozorca, wierny duchem sługa trójwłosego tyrana i chodził od gniazda do gniazda i zamiast żeru, zakazywał pisklętom mówić do Boga i do ludzi językiem szarej rzeszy ptasiej.

Pan jego pojechał zakupić herbatę do "błękitnego kraju" nie wiedział, co się dzieje w zdobytych gajach.

Sługa pomyślał, że się panu przysłuży.

I nie wiedziały ptaki z czyjem orędziem sługa przychodzi; jedne myślały, że z orędziem pańskiem, a drugie mówiły: "wszakże Pan ma Boga w sercu, sam się modli i drugim modlić się każe.

A tymczasem szare puhacze wstawiają się za starą rzeszą.

UWAGA.

Czytelników przeprowadzających się prosimy o podawanie zmiany adresu zawczasu albo do redakcyi albo do swego urzędu pocztowego, który nas w takim razie zawiadomi; w przeciwnym razie bowiem giną pojedyncze numery lub zalegają na poczcie, o ta ostatnia uważa abonenta za nieżyczącego sobie odnośnego pisma.

Dziwotwór anarchistyczny.

Niedaleko od brzegów Tamizy, wznosi się w Londynie na wysokość 900 stóp nad poziomem morza, dom budowany z kamienia, a obok niego duży namiot w kształcie dzwonu. Zewnątrz nie przedstawia przybytek ten nic zresztą szczególnego, za to wnętrze jest mocno oryginalne i ciekawe ze względu na mieszkańców tej osady. Nazywa się ona w potocznej gwarze Kolonia anarchistów z Whiteway.

Liczy dotąd zaledwie dwa lata. Utworzyli ją dawni członkowie kolonii Tołstojowskiej.

Było ich ośmiu. We wrześniu 1898 roku postanowili założyć gminę, opartą na jaknajdalej idących, a właściwie żadnych zasadach. Zakupiono farmę Whiteway za cenę 5.500 złotych i tu osiadło owych ośmiu pionierów. Obecnie jest ich tam około dwudziestu. Każdy nowy przybysz jest pożądany, jeśli tylko rezygnuje ze świata i z wszelkich konwencyonalności.

Osadę urządzono w sposób najprymitywniejszy. Kolonia nie ma właściwie nawet nazwy żadnej. Mieszkańcy jej nie są ani socyalistami, ani komunistami, niechcą też żadną miarą uchodzić za zwolenników doktryn Tołstojowskich. Nie pytają się wzajemnie o wyznania religijne. Sami w nic nie wierzą. Są to, rzec można, anarchiści bierni, którzy na wszystko patrzą okiem obojętnem.

Bezwzględna wolność i swoboda panuje w tej kolonii. Żadne reguły nie wiążą i nie krępują współżycia kolonistów. Ustawa, prawo, rozkaz, to zdaniem ich, rzeczy niemoralne. Wspólność mienia absolutnie tu uznana. Posiadanie to również wymysł ludzi niemoralnych, bo każdy przedmiot powinien być własnością tych, którzy go potrzebują. Koloniści gardzą pieniądzmi, bo one wprowadzają korupcyą. Są przytem wszyscy mniej więcej wegeteryanami i wstrzymują się w przeważnej większości od używania trunków podniecających.

Na zapytanie, dla czego niektórzy z nich pracują, podczas gdy inni leniwie się wylegają do słońca, odpowiadają spokojnie: bo im się tak podoba.

Swoboda i zobojętnienie na wszystko, co się zwie formami światowymi, znajduje wyraz także w odzieży i stroju mieszkańców kolonii, jeżeli to strojem nazwać można. Mężczyźni noszą koszule wełniane, spodnie do kolan i chodzą boso. Główną ozdobą ich są "loki artystyczne". Kobiet jest podobno cztery czy pięć w kolonii, ubierają się niemniej swobodnie, z grecka.

Niezmiernie ciekawe jest uwarstwowienie społeczne osadników. Rekrutują się ze wszystkich warstw, pochodzą z najrozmaitszych narodowości Doktor filozofii z Lipska, ładuje kartofle na taczki, które ciągnie potem dobrowolnie emerytowany trener wyścigowy. Były docent języka starogreckiego na uniwersytecie Oksfordzkim, zajęty kopaniem ziemi, a pomaga mu przytem jakiś prawowity szlachcic polski! (tak przynajmniej zapewnia dziennik angielzki, z którego ten opis wyjmujemy). Jedna z dam kolonii oddaje się ze zapałem paleniu perzu, który znosi jedyny syn bogatego fabrykanta z Birmingham. Inny był uczonym i rzucił posadę naukową, która mu dawała 3.600 złotych rocznej płacy, aby wejść w grono tych idealnych ludzi. Nie brak również bardzo poważnej wdowy z dobrze wychowaną córką, jest tu dalej paru robotników, a w jednej z izb domu kolonialnego, umiera powoli dotknięty suchotami pewien swego czasu wpływowy dziennikarz z Londynu, podczas gdy drugi, popadłszy w lekki obłęd społeczno chrześciański, codziennie wygłasza kazania publicznie.

Tak żyje tedy razem ta z całego świata zebrana kompania, potępiająca surowo wszelką czynną propagandę, nie żądająca niczego, jak tylko zupełnej swobody życiowej. Na pozór tam płyną dnie spokojnie, szczęśliwie, błogo, wśród powszechnego zadowolenia. Ale to tylko pozory. W rzeczywistości przedstawia się raj ten wcale nie tak świetnie, a dziwaczni apostołowie zasady bezwzględnej wolności zdradzają, chcąc nie chcąc, pewne rozczarowanie. Anarchia ich, w teoryi może idealna, w zastosowaniu praktycznem daje widok nie bardzo budujący. Jak wszędzie, gdzie brak porządku i prawa tak i tu spoistość osady jest mniej, niż względną.

W pierwszych osiemnastu miesiącach nie była efektywna wydatność pracy kolonistów, którvch liczba chwilowo dochodziła nawet 40, większą od produkcyi dwóch przeciętnie pilnych robotników, bo też pracował ten tylko, kto chciał, a rozleniwienie i indolencya większości takie przybrały rozmiary, że wreszcie główny założyciel kolonii, Samuel Bracher, dziennikarz z Gloucester, który cały swój majątek około 15.000 złotych na cele i urządzenie osady poświęcił, jednego pięknego poranku, jak to mówią, splunął na wszystko i wyniósł się ze żoną i kilku bliższymi przyjaciółmi z tego eldorada, zostawiając w niem całą swą własność, nie bardzo chętnie, ale ze względów zasadniczych musiał Bracher przyznać, że eksperyment jego był zupełnie chybiony, że najidealniejsze pobudki zrodziły nieznośny stan człowieczego zdziczenia, że zasada, "odpowiedzialności człowieka tylko przed własnem sumieniem" jest w praktycznem życiu niewykonalna.

Osada Whiteway dostarczyła nowego dowodu, że nieodzownym warunkiem życia społecznego jest przymus, strzegący porządku i prawa bodaj w najogólniejszych i najszerszych granicach. Stara ta jak świat prawda, jedynie dla fanatyków anarchistycznych nie wygodna, żyć i obowiązywać będzie po wieki, jak długo ludzie nie przestaną być ludźmi i nie ustąpią miejsca na ziemi aniołom.

CENNY OŁÓWEK.

W czasie ostatniego pobytu cesarza Franciszka Józefa w Budapeszcie w pałacu królewskim, odbyła się tak zwana "audyencya powszechna", w czasie której każdy ma swobodny przystęp do monarchy. Między innymi podszedł do Franciszka Józefa jakiś kowal i podając fotografie cesarza i cesarzowej, prosił o autograf. "Podpisu ci dać nie mogę — rzekł cesarz — gdyż nie mam pod ręką pióra ani atramentu." "To nic — rzekł kowal z flegmą — ołówek wystarczy." I wyciągnąwszy z kieszeni ogromny ołówek ciesielski, podał go cesarzowi. Monarcha podpisał się na fotografii, oddał ją kowalowi i skierował się do innych osób przybyłych na audyencyą. Po chwili jednak zauważył, iż kowal stoi w miejscu, jakby na coś czekał. "Czego sobie jeszcze życzysz? — zapytał cesarz, podszedłszy do oczekującego—wszak masz już żądany autograf." "Autograf mam — odparł kowal — ale niech wasza królewska mość odda mi mój ołówek." Cesarz zaczął się macać po kieszeniach, aż wyciągnął z nich potężny ołówek ciesielski, który przez roztargnienie zabrał kowalowi po położeniu podpisu na fotografii. Scena była podobno tak komiczna, że najkarniejsi nawet dworacy nie mogli powstrzymać się od śmiechu.

UDZIAŁ ROBOTNIKÓW W PRZEDSIĘBIORSTWACH.

Podług urzędowych sprawozdań istniało w ubiegłym roku we W. Brytanii i jej koloniach 84 takich firm, które robotników swych dopuszczały do udziału w zyskach przedsiębiorstwa. Pięć firm zarzuciło ten system, jako zdaniem przedsiębiorców niepraktyczny, przybyły natomiast trzy nowe, a nadto dwie firmy, których robotnicy od kilku już lat mają w zyskach przyznany udział, o których wszakże władze dopiero teraz się dowiedziały. Wszystkie te przedsiębiorstwa zatrudniają razem do 57,000 robotników. W 65 przedsiębiorstwach wykazano cyfrowo udział personalu w zyskach. Przeważnie wynosi on 1 do 9 proc. płacy; były atoli wypadki, gdzie rozdzielono między robotników po 11 do 18 proc. płac tytułem premii, a jedna firma, zatrudniająca łącznie 3,220 osób, przyznała 3,038 robotnikom nawet 37 proc. pobieranej płacy, jako dodatek, z rozdziału zysków im przypadający.

OZNAJMIENIE.

Korespondencyj, nie drukowanych nie zwraca Redakcya, lecz je niszczy. O podawanie zmiany adresów uprasza się czytelników zawczasu, gdyż z tego powodu zalega zbyt wiele numerów po różnych stacyach pocztowych.

Powieść bez tytułu.

Przez J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Ale niczem to jeszcze było obok pochwał! Kiedy nie pojmując go wcale, ale uczuwszy głęboko obraz, myśl, bicie serca w tej poezyi młodzieńczej, chwaliła go kobieta szczerze i serdecznie, pochwała taka brzmiała najdroższą dla niego nagrodą, choć często wysłowić się nie umiała, zdać sobie sprawy nie mogła; ale gdy ten i ów na wiatr przekręciwszy myśl, schwyciwszy coś najmniej uderzającego, począł się unosić, dodając do swych uwielbień komentarze dowodzące, że na niczem nie były oparte; gdy ktoś tak chwalił, z takiej strony szukał piękna, z której dopatrzyć go było niepodobna, o! srogie to były bicze takie pochwały i okłaski!

Komuż się nie zdarzyło być tak chwalonym, że wolałby pewnie najzjadliwsze ukąszenie wycierpieć, niż taki policzek uwielbienia? Staś znosił to wszystko milcząc, ale mu się w głowie mieszało i najpierwszym skutkiem sprzecznych zdań było wyrobione przekonanie, że głos wewnętrzny i własny kierunek najlepiej poprowadzić go może, a po nim, raczej krytyka uprzedzona, zjadliwa, chłoszcząca, niżeli apologie i panegiryki, które niczego nauczyć nie mogą.

Ukazanie się artykułu krytyki w gazecie dowiodło znów młodemu pisarzowi, jak potężny wpływ drukowane głupstwo wywiera na słabe umysły. Wszyscy wiedzieli o pochodzeniu recenzyi z butelki porteru wyczerpniętej, a złością starego pedagoga zaprawnej — nikt go nie szanował — przecież gdy z dowcipem wystąpił, gdy nałajał czarno na białem, a głośno i odważnie, zrobiło to widocznie potężną zmianę nawet w najprzyjaźniejszych dla Stanisława. Po cichu najprzywiązańsi Szarskiego szeptali sobie, że Iglicki ma wiele dowcipu, a może nawet niekiedy trochę słuszności w swem zdaniu! Nie mówię już o niechętnych, dla których recenzya była naturalnie najmilszym przysmakiem.

Szarski zgryzł się tem niezmiernie, przebolał, zwłaszcza, że doskonale pojmował, iż krytyka ostrzejszą może, ale daleko sprawiedliwszą być mogła, bijąc sumiennie a poważnie w usterki istotne, a nie czepiając się dziecińśtwa, słówek i nie igrając jak poliszynel z łopatką.

Zmartwiły go także twarze ludzi, z których każdy spotykając, kłół go tą głupią recenzyą, choć niby oburzał się na nię. W każdych ona była ustach, w każdem oku, rozminąć się z nią nie mógł nigdzie. Jedni doradzali mu odpisać, drudzy życzyli milczeć i byłby się ostatniego chwycił poeta, gdyby nie tok cały krytyki, pełnej przykrych osobistości. Zdawało się młodemu, że choć młody, nie w swojej tylko sprawie, ale w interesie powszechnym powinien się był ująć o godność i kapłaństwo powołania krytyków, że obowiązany był wskazać, jaką krytyka być powinna, aby dościgła swojego celu. Siadł więc pisać, a że z gorącem uczuciem schwycił za pióro i żywa boleść dostarczała mu wyrazów, łatwo napisał wielce wymowny, wzniosły i piękny artykuł, który nie namyślając się, posłał do gazety.

Ani się domyślał biedak, że i tu sumienie nie wielką grało rolę, a główny własny interes, bo redaktor szanując pomoc starego Iglickiego, który mu nadsyłał swe recenzye interesujące, bo złości i szyderstwa pełne i lepsze od innych, który cenił, nie mógł umieścić odpowiedzi, aby nie obrazić krytyka! Nie przeczuwał także, iż ton jego rozprawki wyższy był o tyle od pospolitych w tym rodzaju wyrobów, iżby je wszystkie zabił swojem niebezpiecznem sąsiedztwem.

Wyrzuty dotykały w ostatku nie tylko Iglickiego, ale mnóstwa kolaboratorów gazety i samego jej wydawcę; wyprowadzały na scenę sumienie, osobę zupełnie dotąd nieznaną i prawa obywatelstwa w literaturze nie mającą; słowem, był to wybuch młodzieńczy, który wywoławszy uśmiech, musiał pójść do kosza kopert i śmieci.

Naprożno Szarski wyglądał druku, chwytał przychodzące numery, szukał w nich swej odpowiedzi. Długo milczał redaktor, aż nareszcie w kilku zimnych słowach oznajmić raczył, że dla przyczyn od redakcyi niezawisłych, artykuł z podpisem S. S. drukowanym być nie może.

Potrzeba się było poddać, zamilczeć i zwiesiwszy głowę ulec chłoście, przeciw której nie było ratunku, nie wolno było podnieść nawet głosu. Walczył ze sobą zniechęcony Szarski, myśląc z razu nie tknąć pióra; ale biada temu! biada! kto raz zwalał się atramentem i napił się z tego naczynka słodkiej trucizny! Zostaje on jak owi nałogowi pijacy opium, niewolnikiem czarnego płynu i kąpać się w nim będzie całe życie. Myśl mu się nie przestanie napierać wyjścia tą drogą, którą już chodzić przywykła; tłómacząc się potrafi przed sobą, że pisze sobie gwoli, ale potem gorzej przecię z drugimi się tą strawą przełamać.

Recenzya, narobiwszy wiele hałasu i wiele zaszkodziwszy poecie, który uczuł na swej skroni pierwsze kolce cierniowego wieńca, poleciała z ulotną kartką w morze zapomnienia, a poezye tymczasem krążyły, rozchodziły się i zyskiwały coraz więcej czytelników. Z początkowych wrażeń trochę zmieszanych, niewyraźnych, tłumnych, poczęła się tworzyć opinia jakaś jednostajniejsza, pośrednia; a ci, co się zawsze żywią tylko cudzem i gotowem, rozgłosili ją po świecie. Nie była ona zbyt surową, owszem przyznawała talent poecie i wiele uczucia; ale że najłatwiej czemś osłabić pochwałę, dodawano, że młody, że to jeszcze śpiew pisklęcia, że to pieśń, jaką nuci każdy zakochany jeśli nie usty, to sercem, że potrzeba czekać drugiej pracy, by osądzić, czy się czegoś po nim spodziewać można.

— Mój drogi, rzekł mu, przeczytawszy ów tomik poezyi, profesor Hipolit: mogę ci zaręczyć, że kilka razy wśród czytania łzy mi się zakręciły w oczach, żem uczuł żywsze serca bicie i powracałem do książki z przyjemnością. Po tych znakach mogę ci śmiało prorokować powodzenie i powitać talent w tobie! Ale pamiętaj, że dopiero praca, cierpienie, doświadczenie uskrzydla i do dojrzałości prowadzi talent, który Bóg daje małem ziarnkiem, a kto ziarno wypielęgnuje, temu ona tylko zakwita!

A zatem dalej, mój młody bracie, dalej a śmiało! Nie oglądaj się na sroki, co krzyczą siedząc na płocie, gdy idziesz z pługiem w pole: cóżby sroki robiły, gdyby nie krzyczały?

* * *

Wśród pracy naukowej i tej, którą sam jeszcze narzucał sobie Stanisław, żył on z troską nieustanną o chleb powszedni, a ta ciężkiem była mu brzemieniem. Lekcye jego zaledwie z największą oszczędnością wystarczyć mogły na najubożsże życie, a innych potrzeb zaspakajać nie myślał nawet, boby im nie podołał. Stary mundurzyna służył mu jeszcze, z najtroskliwszą pielęgnowany bacznością na łokcie i poły, zdejmowany zaraz po powrocie do domu, a pomimo tego co dzień wyglądający groźniej. Musiał sam sobie posługiwać i szczędzić niezmiernie, co nużyło go, wymagając nieustannej o każdy krok baczności. Pomimo tego jednak, codzień było ciężej, codzień trudniej, w miarę jak ubywało tego, co jeszcze z dawnych zachował był zapasów. Szczerba wprawdzie nie spuszczał go z oka i dzielił się z nim wszystkiem, ale nie łatwo to było wymódz na Szarskim, żeby co przyjął od kogo. Nieraz wstrzymywał się od odwiedzania towarzyszów dla tego, że u nich obiad, herbata lub wieczerza w tej chwili przypaść mogła.

Życie szło w ten sposób niewidocznymi wciąż okupowane ofiarami. Z rana obchodził się samą bułką na śniadanie, na obiad najczęściej pił tylko kawy szklankę, albo, jak był bardzo głodny, szedł do jednej z najpodrzędniejszych akademickich traktyerni nie na cały obiad, ale tylko kawałek mięsa kupując dla zagłuszenia niezmiernego już głodu; wieczorem pił czasem gdzie herbatę u towarzyszów w gościnie lub obchodził się bez niej, jeżeli siedział w domu. Mrokiem sam z dzbankiem wychodził po wodę, bo w domu nikt by mu darmo posłużyć nie chciał, a płacić nie było z czego. Okryty płaszczykiem, zapięty, zręcznie przemykał się ulicą i powracał, tak się już wyuczywszy ekwilibrycznego trzymania dzbanka pełnego, że kropli wody nie rozlał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Miejscowe.

JAZDA PRZEZ ŚCIANĘ.

Do budynku składu towarowego Pritzlaf'a na narożni ku Fowler i Drugiej ulicy wjechał o godzinie 3. po pół nocy we wtorek wagon towarowy przez ścianę. Mur, wyłamany niby średniowiecznym taranem, świadczy o tem osobliwszem zdarzeniu. Podczas gęstej mgły przeoczył maszynista sygnały bremzera podczas sprzęgania wagonów w dziedzińcu towarowym i ruch wagonów za tamowano dopiero wtenczas, gdy już tylne wagony zeszły z torów, przejechały przez Drugą ulicę i wpadły ze strasznym grzmotem na ścianę składu, a następnie na wylot przez takową. Po zachodniej stronie budynku nagromadzone leżało mnóstwo drutu, zaś przed nim wzdłuż chodnika szlifierskie kamienie. Te ostatnie przesunął wagon w tył i wjechał przez ścianę do budynku. Bremzer ocalił życie szybkim skokiem w bok, a wagon i ściana wzajemnie się uszkodziły.

ZDERZENIE SIĘ WOZU Z WAGONEM KOLEI ULICZNEJ.

Ofiarą zderzenia się wozu, ładownego z wagonem kolei ulicznej Russell i Oakland aves, padło we wtorek tego tygodnia dwóch ludzi, którzy wprawdzie nie utracili życia doraźnie, lecz pozostało ono dla nich bez wartości. Woźnica wozu,ładownego węglem, spadł skutkiem uderzenia wagonu o wóz, na szyny i dostał się pod koła wagonu, które ucięły mu obie nogi poniżej kolan. Westybuł wagonu poszedł w kawałki, a kierownik motoru doznał ciężkich wewnętrznych uszkodzeń. Obydwu odwieziono do szpitala P. Maryi.

Konie zaś i wóz ładunkowy pozostały nieuszkodzone; pomocnik woźnicy, siedzący tak że na wozie, nie doznał najmniejszego uszkodzenia.

KOSZTOWNE GRZYBY.

Śmierć dwóch osób pod kołami lokomotywy.

W poniedziałek padło dwóch chłopców ofiarą wypadku na torach kolei. Pięciu podrostków wybrało się na grzyby do Town Lake w południowym kierunku od cmentarza polskiego. Napełniwszy ko szyki, wybrali się z powrotem torem kolejowym chicagowskiej odnogi dla skrócenia sobie drogi. Słysząc turkot nadchodzącego towarowego po ciągu od południa, ustąpiło trzech mniej śmiałych zupełnie z torów, idąc ściężką obok takowych, dwóch zaś ustąpiło z torów nadciągającego pociągu na drugie, przyległe tory. Zanim pociąg towarowy z miejsca odjechał, nadjechał równocześnie od północnej strony pociąg osobowy, którego dwaj chłopcy nie zauważyli, bo turkot przejeżdżającego towarowego zagłuszył turkot tamtego. Nazwiska świadczą, iż obaj byli polskiej narodowości—Kierzek i Czajkowski.

— Opuszczając prasę we wigilią św. Maksymiliana, życzy Katolik wszelkiej pomyślności przy czerstwem zdrowiu Wiel. Ks. Dorszyńskiemu.

— W środę 17 bm. powróci J.E. ks. Arcybiskup z konferencyi, na którą odjechał 9 do Washingtonu w towarzystwie Wgo ks. W. Grutzy.

PROŚBA O UWOLNIENIE MENOMONEE OD UCIĄŻLIWEJ I NIEMIŁEJ WONI.

Na posiedzeniu rady miejskiej wpłynęła bieżącego ty godnia petycya, zaopatrzona tysiącami podpisów obywateli z ósmej i szesnastej wardy, o wydanie komisyi sanitarnej na przyszłość zakazu zładowania w dolinie Menomonee odpadków kuchennych. Prośba zawiera twierdzenie, stanowiące argument, popierający żądanie, że odpadki wspomniane zarażają nie mile powietrze i że zachodzi obawa, aby miejsce składu odpadków nie zostało siedliskiem zarazków do różnych chorób. Pośród obywateli podpisanych na petycyi figurują i wszyscy przedsiębiorcy, mający swe fabryki w dolinie Monomonee. Obecnie przedłożyć ma komitet sanitarny sprawozdanie radzie miejskiej w tym przedmiocie.

BADANIE SUMIENNOŚCI.

Na poniedziałkowem posiedzeniu rady miejskiej postawił radny Smith żądanie na piśmie, aby polecono wydziałowi budowy zbadanie konstrukcyi budynku szkoły wyższej na zachodniej stronie. Wedle zdania bowiem wnioskodawcy, dziwić się wypada, że dach rzeczonego budynku jeszcze się nie zawalił.

Sprawę tę przydzielono komitetowi budowlanemu do zbadania i przedłożenia sprawozdania, czy odnośni kontraktorowie i architekci podlegają odpowiedzialności za wykonane roboty przy wzmiankowanej budowie.

Przydzielono także komitetowi od oświetlenia nowy kontrakt na oświetlenie ulic, przedłożony radzie ze strony komisyi budowlanej.

SERYA SIÓDMA.

Spółka Skarb Polski Wzajemne Towarzystwo Pożyczkowe i Budownicze w Milwaukee, Wisconsin.

Spółka "Skarb Polski" co rok rozpoczyna nową Seryą, dla tego też uchwaliła Dyrekcya na ostatniem posiedzeniu, ażeby rozpocząć Seryą 7-mą. Kto ma zamiar przystąpić i dać się zapisać, to niech się zgłosi do sali zwykłych posiedzeń p. W. Rakowskiego, róg Burnham i 3 Ave., w każdy piątek wieczorem o 8-mej godzinie.

Jan Gawin, prez.
F. J. Heller, sekr,

Dom św. Józefa.

18 Greenwich Street, New York City.

Dom św. Józefa przyjmuje polskich i litewskich emigrantów przybywających do Ameryki, lub odjeżdżających do Europy, oraz opiekuje się nimi aż do przybycia na miejsce ich dążności. I tak np. wstawia się za emigrantami przed władzą emigracyjną, chroni ich przed wyzyskiwaczami, wskazuje im drogę, wyszukuje pracę, udziela rady, zwraca uwagę na niebezpieczeństwa, pośredniczy przy zakupnie kart okrętowych, biletów kolejowych, wysyłce lub wymianie pieniędzy, odprowadza ich na dworce kolejowe i okrętowe, prowadzi z nimi korespondencye w sprawach Domu i podróży i t. p.

Wewnętrzny zarząd i gospodarstwo w Domu świętego Józefa prowadzą Wiel. Siostry Felicyanki, które z wielką pieczołowitością zajmują się emigrantami.

Domem św. Józefa kieruje i zarządza Towarzystwo św. Józefa opieki nad emigrantami przez swoich przedstawicieli, którymi obecnie są: ks. Dr. Dworzak, prezes; ksiądz Dr. Warnagiris, wice-prezes; ks. Z. Świder, kapelan; ksiądz J. Strzelecki, kasyer i ksiądz F. Czarnecki, sekretarz.

Po informacye, dotyczące Domu i podróży, udać się trzeba do: Rev. Z. Świder, 18 Greenwich Str. New York City.

Ofiary na Dom św. Józefa uprasza się przesyłać do: Rev. J. Strzelecki, 54 Stanton Str., New York City, który łaskawych ofiarodawców natych miast kwitować będzie z odbioru takowych.

Williambridge, N. Y. 10 lipca, 1900.

Ks. Dr. Dworzak, sekr.

Ceny targowe.

Mąka.	
Najlepsza	$4.05—4.51 beczka
Piekarska	2.85—3.05 worek
Żytna	2.85—3.00 beczka
Wiktuały.	
Jaja świeże	11c tuzin
Masło "Creamery"	25c funt
Masło "Dairy"	19—20c funt
Ser śmietankowy	11c—12c funt
Ser "Brick"	10—11c funt
Ser "Limburger"	10—11c funt
Cukier	10—12c funt
Inne produkty.	
Groch zielony	1.00—1.03c buszel
Groch biały	80—90c buszel
Groch żółty	90c—1.00 buszel
Kapusta	$.250 pół beczki
Kapusta	4.50 beczka
Siano	9.00—9.50 tona
Siano mieszane	9.00—10.50 tona
Jarzyny.	
100 ogórków	10—15c
Cebula suszona	30—35 buszel
Cebula świeża	5—10c tuzin
Ziemiaki	30—32c buszel
Ziemiaki słodkie	3.00—3.50 beczka
Pietruszka	8—10c tuzin
Owoce.	
Jabłka najlepsze	3.00—4.25 beczka
Kalifornijskie gruszki	1.75—2.25 pudło
Cytryny	3.25—3.00 pudło
Aprykozy	1.50 pudło
Drób.	
Kury zywe	9c funt
Indyki	7c—9c funt
Kaczki	10c funt
Gołębie żywe	1.25 tuzin
Gołębie nieżywe	60c tuzin
Mięso.	
Wołowina	7—7½c funt
Cielęcina	10—11c funt
Wieprzowina	6½c funt
Skopowina	7½c funt
Jagnięce mięso	10c funt
Smalec wieprzowy	7½c funt
Kiełbasa	od 5c do 12c funt

Do czytelników.

Zuwagi, iż literatura nasza jest tak bogata, że z niej korzystają nawet inne narodowości i nawet nieprzyjaciele naszej ojczyzny, co dawniej zakazywali nam czerpania z niej wiadomości, każą dzisiaj przekładać na swój własny język narodowy; z uwagi nadto, iż nie każdemu znany jest cały zakres tejże literatury i treści pojedyńczych jej skarbów, postanowiliśmy gromadzić najcenniejszy ten materyał w tygodnik przeznaczony na księgę o-kazałą z końcem roku, a to, aby utworzyć tanio doborową bibliotekę domową dla każdej polskiej rodziny w poprawnym dzisiejszym języku polskim. Do tego jednak celu, sięgającego nie na dziś lub jutro, lecz w przyszłe aż pokolenia, nie wystarczą nasze dobre chęci bez poparcia ich przez wszystkich bez wyjątku polaków. Tych bowiem powieści, z których każda kosztuje $2.00 nie zdołamy połączyć w jedną księgę za $1.00, jeżeli się znajdą rodziny polskie, nie pojmujące naszego zamiaru. Na taką zaś księgę przeznaczon jest tygodnik "Źródło" i dla tego uważamy za swój obowiązek objaśnić szanownych czytelników i ojców rodzin o jego znaczeniu i wartości, aby takowy niezwłocznie prenumerowali i nie pozbywali się bezwiednie za $1.00 tej księgi, która będzie zbiorem kilku ksiąg, kosztujących po kilka dolarów. Dotąd jest "ŹRÓDŁO" w rękach 12,000 rodzin polskich.





C., Mil. & St. Paul Railway

Passenger Station, Fourth Ward Park; telephone 472. City office, No. 400 East Water street, telephone, 28. a. daily; b. except Sunday; c, except Saturday; d. except Monday; s, Sunday only.

MILWAUKEE.	Leave.	Arrive.
La Crosse, Winona, Stillwater, St. Paul, and Minneapolis	a12:35am	a 3:50am
	a 4:50am	a 4:10am
	a11:05am	a 7:00am
"The Pioneer Limited"	a 8:50pm	a 7:05pm
So. Minnesota Points	b12:35am	d 3:50am
Iowa and Dakota Points	b 3:00pm	d 7:10am
	c 7:40pm	b 1:10pm
Prairie du Chien, Iowa, and Minnesota	b 3:00pm	d 7:10am
	c 7:40pm	b 1:10pm
Mineral Point Line	b 7:10am	b 1:10pm
	b 3:00pm	b 7:15pm
Janesville and Rockford	b 7:10am	b 1:10pm
Janesville and Rockford	b 3:00pm	b 7:15pm
Janesville and Madison	a 5:10pm	a 9:35am
Janesville and Madison	d 7:40pm	b 7:15pm
Racine and Southwestern Division	b12:15pm	a 8:40am
	a 3:30pm	b 3:10pm
Council Bluffs, Omaha and Kansas City	b 4:00pm	b11:00am
	c 7:30pm	b 1:45pm
Chicago Express	a 4:20am	a12:30am
Chicago (parlor car)	a 7:15am	a11:00am
Chicago (parlor car)	a 9:00am	b 1:45pm
Chicago (parlor car)	a11:00am	....
Chicago (parlor car)	b 1:45pm	a 4:55pm
Chicago (parlor car)	a 4:00pm	a 7:15pm
Chicago (parlor car)	a 7:30pm	a 8:40pm
Chicago (parlor car)	....	a11:40pm
Chicago (Sunday only)	....	11:00am
Madison (via Prairie du Chien Division)	b 3:00pm	d 7:10am
	c 7:40pm	b 1:10pm
Madison (via Watertown)	b 7:45am	b10:45am
	b 5:00pm	b 3:45pm
Northern Division	b 7:35am	b10:35am
	b 3:45pm	b 7:25pm
Waukesha	b 7:10am	d 7:10am
	b 8:40am	b 7:40am
	b11:15am	a 9:35am
	b 3:00pm	a10:55am
	a 5:10pm	b 1:10pm
	b 6:10pm	b 3:55pm
	c 7:40pm	b 7:15pm
Waukesha & Janesville	s11:05am	s 7:03pm
Watertown & Portage	a 4:50am	a 4:10am
Watertown & Portage	....	a 7:00am
Oconomowoc & W'town	b 7:45am	b 8:40am
Ocon., W'town, Portage	a11:05am	b10:45am
Oconomowoc & W'town	b 1:55pm	b 3:45pm
Ocon., W'town, Portage	b 5:00pm	a 7:05pm
Ocon., W'town, Portage	a 8:50pm	....
Green Bay & Int'mediate	b 5:05pm	b10:40am
Marquette, Houghton & Lake Superior Pts.	b 7:15am	a 4:00am
	a12:40am	b 7:00pm

Chi. & Northwestern R'y

Office 102 Wis. St.; Station, Foot of Wis. St

*Daily. †Ex. Sun. ‡ex. Sat. z Mon. only. §Sunday only.

MILWAUKEE	Leave	Arrive
Chicago, Racine, Kenosha and Waukegan	*5:00am	†5:00am
	*7:15am	§6:15am
	†7:40am	†9:45am
	*9:00am	*11:00am
	*11:00am	†1:45pm
	†1:45pm	†4:30am
	*4:00pm	*4:55pm
	*7:15pm	*7:15pm
	....	*10:10pm
	....	*12:30am
Racine, Cudahy and south Milwaukee Special	*11:35pm	*11:20am
	*3:35pm	*1:55pm
	*11:20pm	*5:45pm
Duluth and Superior	*7:20pm	*7:05am
	*7:30pm	*7:50am
	*10:20pm	*9:20am
St. Paul, Minneapolis and the Northwest	†9:40am	†7:50am
	*7:20pm	*9:20am
	*10:20pm	*8:40pm
Madison & Waukesha	†4:50am	†7:50am
	§6:20am	§8:05am
	†9:40am	†10:45am
	†5:20pm	†3:55pm
	*10:20pm	*8:40pm
Freeport	†4:50am	....
Rockford, Janesville and Beloit	†4:50am	†10:45am
	†9:40am	†3:55pm
	†5:20pm	....
Fond du Lac, Oshkosh, Neenah, Appleton and Green Bay	†5:15am	*4:55am
	§6:30am	....
	†7:55am	†10:45am
	†11:05am	†1:25pm
	†2:10pm	*3:35pm
	*5:00pm	†6:50pm
	*10:15pm	z12:45am
	*12:35am	....
Appleton only via Fond du Lac & Oshk'sh	....	....
	*7:20am	*9:20am
Marinette and Menominee, Mich	†5:15am	*4:45am
	§6:30am	†1:25pm
	†7:55am	†6:50pm
	†5:00pm	z12:45am
	10:15pm	....
	12:35am	....
Marquette, Houghton and Calumet	5:15am	4:55am
	10:15pm	....
Negaunee and Ishpeming	†5:15am	*4:45am
	*10:15pm	†6:50pm
La Crosse, Winona, Minnesota & So. Dakota	....	....
	†4:50am	....
	†9:40am	†3:55pm
	*10:20pm	*8:40pm
Ashland, Rhinelander, Ironwood & Hurley	†5:15am	*7:05am
	*7:30pm	†8:10pm
Iron Mount'n & Florence	*12:35am	*4:55am
Port Washington, Sheboygan & Manitowoc	†7:00am	*7:05am
	†1:50pm	†10:50am
	*7:30pm	†3:50pm
	....	†8:10pm
Ripon, Green Lake and Princeton	....	....
	†7:55am	....
	†2:10pm	†10:55am
	....	†6:50pm

Poszukiwanie.

Małgorzata Graniekowna z Borków niziańskich w Galicyi poszukuje swojej siostry ciotecznej, Franciszki Trznadel, z Borków niziańskich w Galicyi. która przed dwoma laty przybyła do Ameryki.